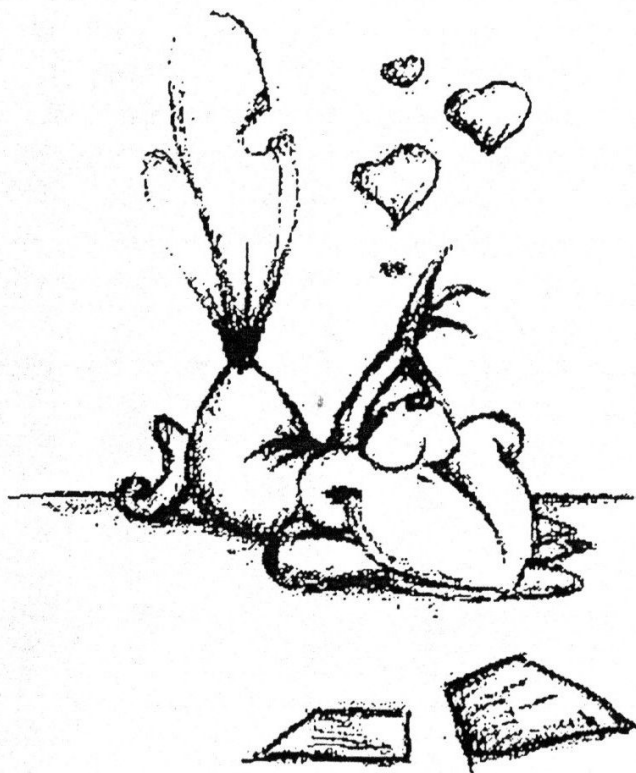


siódemka



Szkolna gazetka Zespołu Szkół nr 7 w Lublinie ul. Roztocze 14
11 czerwca 2009 roku, nr 9



rys. Roksana Jurek, kl. II d

Spis treści

Z życia szkoły.....	3
Quo vadis?.....	4
Zbiór piór.....	5
Kulturalia.....	10
Kraina chichów.....	14

Drodzy czytelnicy!

Nadeszła pora, której wszyscy od dawna wyczekiwali. Tak, myślicie zapewne o tym samym co ja. Wakacje i koniec roku! Dla niektórych nareszcie, ale innym trudno się z pewnością będzie rozstać z miejscem, w którym przeżyli trzy lata wzlotów i upadków. W końcu, jak wiemy, najstarsi z nas opuszczają progi gimnazjum, by zmierzyć się z wyzwaniem, które postawi przed nimi liceum. Dlatego też twórcy „Siódemki” pragną serdecznie podziękować za zainteresowanie i szacunek okazywany naszej pracy.

A teraz sprawa najprzyjemniejsza, jak mi nie mam, wakacje. Mamy nadzieję, że na świadectwie będą same szóstki albo

Stopka redakcyjna

Katarzyna Łoś – redaktor naczelny

Klaudia Kozak, Aneta Urban, Karolina Wilczyńska, Joanna Wojtaś – dziennikarze

Marta Mocarska – skład gazetki

Justyna Kierepka – opiekun gazetki

przynajmniej satysfakcjonujące inne oceny. Wszyscy zasłużyliśmy na odpoczynek od szarej rzeczywistości. Wyobrażacie to sobie? Zero mundurków, zero nauki po kilkadziesiąt godzin w tygodniu i żadnych koszmarów sennych, których bohaterami byliby nauczyciele. Oczywiście ta wakacyjna idylla kiedyś się skończy, ale i tak pragniemy Wam życzyć, by te letnie ferie były najprzyjemniejszymi chwilami w życiu. Życzymy Wam, byście spędzili je na błogim lenistwie. Nieważne - nad jeziorem, morzem, w górach czy na tropikalnej wyspie. Ważne, by się wysmienicie bawić i zregenerować siły na następny rok szkolny.

Joanna Wojtaś, kl. III d

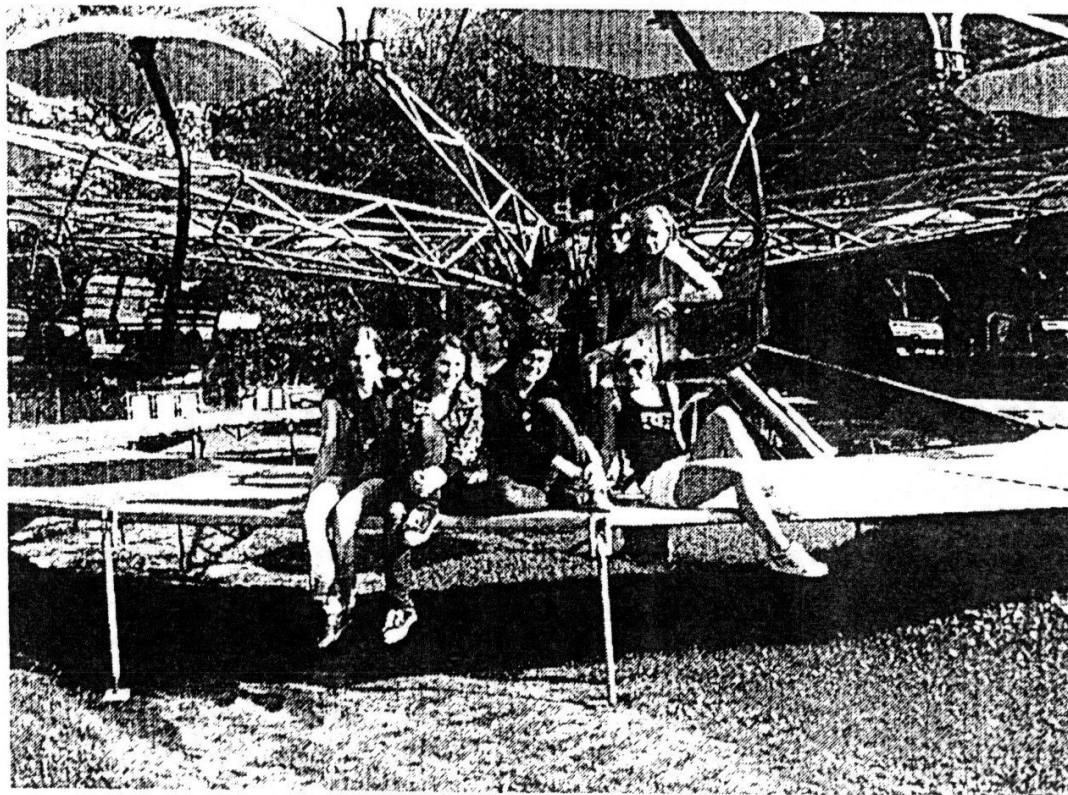
Z życia szkoły

Wycieczkowo

Mogłoby się wydawać, że na wycieczce do Krasnobrodu nie będzie specjalnych atrakcji, a sami wycieczkowicze pomrą z nudów. Jednak wyprawa klas III a, d i e zniweczyła nadzieje tych, którzy wróżyli jej niepowodzenie. Gdy 20 maja w godzinach popołudniowych zbliżyliśmy się

dziliśmy do lasu. Nawet zgubiliśmy się w lesie. A mieszkaliśmy też obok lasu...

Mimo iż bliskość lasu dla niektórych nawykłych do obcowania co najwyżej z osiedlowymi krzakami bzu była irytująca, a mieszcuchy zaczynały się dusić świeżym powietrzem, to nie daliśmy się i dzielnie stawiliśmy opór przyrodzie oraz przewodnikom,



do Krasnobrodu, ujrzeliśmy las. Gdy jechaliśmy wąską nitką roztoczańskiej szosy, po obu jej stronach rozciągał się las. Dotarłszy na miejsce, tu Was zaskoczę, ujrzeliśmy las. Na spacery cho-

którzy za wszelką cenę chcieli nas z ową przyrodą zaprzyjaźnić. Ale ile człowiek wychowany na buszowaniu w sieci, wykarmiony energią płynącą ze światłowodów może po lesie biegać, do tego

służąc jako pożywienie komarom i kleszczom. Dopięliśmy swego i przez większość czasu pozostawaliśmy w ośrodku, a tam wszyscy zorganizowaliśmy sobie sami czas. Jedni biegali jak opętani, upojeni świeżym powietrzem, inni grali w różnego rodzaju gry, dziewczyny prezentowały swoje wdzięki opalając się, a pozostali okupowali placyk zabaw. W obydwie wieczory wszyscy zbierali się przy karaoke i ognisku, piekliśmy kiełbaski i śpiewaliśmy nieco już przykurzone muzyczne hity.

A w piątek wszyscy zadowoleni z wycieczki i smutni z



powodu jej końca wrócili do domu, by poprawiać oceny i marzyć o bliskich wakacjach.

Klaudia Kozak, kl. III d

Quo vadis? Problemy... rozterki... usterki...

Czas pożegnać się ze stolkiem...

Zaszczytne stanowisko redaktora naczelnego objęłam aż... numerów temu. Wydaje się, że lata świetlne za nami. W każdym razie wolno mi było decydować, o czym pisać będziemy, poddałam kilka pomysłów, a przede wszystkim powołałam do życia moje *alter ego*, Mike'a

Spoora. Z takimi doświadczeniami, kto wie, może mnie do *New York Times'a* wezmą! Ale co ja tu będę nad swoją egzystencją się rozwodzić. Przede wszystkim pragnę podziękować pani Justynie Kierepce, która powierzyła mi to stanowisko. *Last but not least*, jak to mówią Anglicy, dziękuję też wszystkim dziennikarcom. I na końcu – wszystkim czytelnikom za trud czytania i za wydobywanie z dna kieszeni

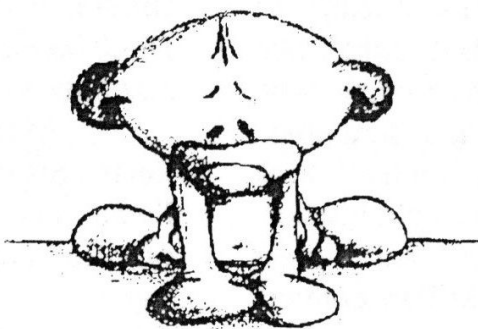
owych 50 groszy na naszą „Siódmkę”.

Nurtuje mnie jedno pytanie. Kto zajmie moje miejsce? Kto przejmie dziedzictwo prowadzenia gazetki z całym dobrodziejstwem inwentarza? Ktokolwiek by to nie był, ma moje błogosławieństwo. Stawiam jeden tylko warunek, który brzmi: kryminal! Bowiem tradycji musi stać się zadość, a Mike Spoor powi-

nien mieć godnego siebie następcę.

Tak czy inaczej chwila rozstania ze wspomnianym wyżej stołkiem nadchodzi nieuchronnie. Trzecie klasy odchodzą, żeby ustąpić miejsca innym. Życie...

Hebemyer 2005



rys. Roksana Jurek, kl. II d

Zbiór piór, czyli potyczki młodych z literaturą

Criminal with a feminine touch.

(Just touch. - everything else done by my imagination)

He stepped into a Black Zone of the city. He passed basketball pitch were all black men were playing. Sound of dribbling ball and clatter of metal net after getting a point. Then he knew what

was real climate of the city. Music which was coming from open window was swinging somewhere between narrow back - streets. He felt mood the best for reflection. He roused and came back to Earth. The man in orange was far ahead him and he didn't really mean to slow down. John Frusciante was sure, Pete Swan was going to the café in the end of the street. After minute or 2 he got to the café. He sat at the table which was next to Peter Swan's table. [Café, because it can't be called a restaurant]. It looked like a kitchy fast food restaurant. John ordered a coffee and scrambled eggs for lunch. A waitress took the order and went to the kitchen. The door opened and guess what!] Martin McMillan entered. John nearly jumped on the chair. That was strange. Why are they having meeting in here? Hmmmm... we'll see. John was trying to hear anything from their conversation. The waitress brought scrambled eggs. Coffee was as weak as water. He was sipping it while listening:

- *What about Mike Spoor?* - Martin McMillan asked.

- *As you can see, he isn't quick witted enough to see that you are murderer.*

- *Don't be so sure.*

- *Are you sure no one followed you?*

- *Yes, I'm sure.*

John nearly laughed. No one followed Peter Swan... except him... John was recording everything what they were telling. He was doing it discreetly but he was sure that the recording's perfect. After everything, which could help in solving up, John drank up his coffee, stood up and walked to men's table.

-*Hello! John Frusciante, Police Department in Boston. Nice to meet you - he showed badge and continued - You are under arrest. Don't move. Wait a minute... I just have to pay the bill.*

Martin McMillan and Peter Swan (better known as Swan of Boston) were sitting petrified and didn't know what to say.

- *I'm here again.*

- *How did you know that?*

- *Not me. Mike, Mike Spoor. As you can see he is clever enough to find some white gloves and brown eyeglass, isn't he, Martin? Can you tell me why one of your eyes was brown and other one was green. You left your eyeglass in the charring room.*

Martin was absent. He stacked his sight somewhere and was sitting like that until he didn't hear the sound of police coming.

- *I asked them if they can give us a lift!*

[I don't really knew why John's trying to be funny. We have to be really serious. Just as a situation.]

Anyway, when they got to the police station Mike was already waiting for them. He glanced at Martin with kind of mercy. He knew that getting murderer was a gate to freedom for him. He didn't really mind if Martin and the rest would get to prison. Mike wanted to come back home. Warm puff of the wind touched his face gently. He didn't bid good - bye. He has just taken left. He appeared here as a ghost and then left the same way. He called a taxi and went to the airport.

Routine started. It was about 8 a.m. when he left the plane in New York City. He was walking down the street. No one was following him, only his shadow made by the sun was following him by moving on dirty walls of New York. Beautiful woman - Kate Moss - came into his view. She asked him for the time. Neither of them knew that their friendship would end with a marriage. She will inspire him with her optimism. Sometimes there is nothing and is nothing by the time it becomes everything.

**Thanks for reading,
Kejt Moss / Lijewska ;)**

2 godziny

Niniejsze opowiadanie dedykuję Magdzie Garczyńskiej, bez której by ono nie powstało. Jednocześnie zaświadczam, że wszelaka zbieżność imion, nazwisk, miejsc i/lub zdarzeń jest zupełnie przypadkowa i wynika wyłącznie z mojego sławetnego uporu i stanowczości.

Piotrek oszołomiony telefonem Julii wybiegł ze szkoły. Nie dbał o zmianę butów, o papierek od dyrektora pozwalający opuścić budynek czy o usprawiedliwianie się u kogokolwiek. Tylko najlepszemu przyjacielowi, Kubie, powiedział o zaistniałej sytuacji i o swoich planach. Najkrótszą drogą, jaka istniała, dotarł do mieszkania Magdy i zadzwonił domofonem. Cały trząsł się ze złości i strachu o dziewczynę. Jak ktoś miał czelność coś jej zrobić! Przypomniało mu się, jak bardzo musiał się nachodzić, by ją zdobyć. Niedostępna i z oryginalnym spojrzeniem na świat intrygowała go niesamowicie i bardzo chciał ją poznać. A kiedy już poznał, to nie mógł przestać o niej myśleć. Codziennie wymyślał pretekst, by z nią porozmawiać, by ją chociaż zobaczyć. W końcu dała mu szansę, choć nie bardzo była pewna swojej decyzji. Później

jednak, po ich pierwszym pocałunku przed jej domem, nie mogli bez siebie żyć. Czuli, że odnaleźli właśnie to, czego szukali, coś, co chcieli zatrzymać przy sobie. Aż nagle 20 maja ktoś wkroczył pomiędzy nich. Ktoś, z kim na razie sobie nie poradzili. W trakcie rozważań chłopak dotarł do drzwi oznaczonych numerem 12 i głośno zapukał. Nigdy nie używał dzwonka, więc Libarzowie zawsze wiedzieli, kto stoi za progiem. Otworzyła Julia, która zaoferowała pomoc przy wszelakich sprawach.

- Cześć. Chodź.

- Cześć. Dzień dobry – przywitał się Piotrek i wszedł do kuchni, zostawiwszy plecak w przedpokoju.

- Cześć, Piotrek. Napijesz się czegoś? – zapytał pan Rafał, tata Magdy.

- Nie, dziękuję. Proszę nie robić sobie kłopotu. Co się w ogóle stało? Julia do mnie zadzwoniła, ale nie mówiła przez telefon, co się wydarzyło.

Julia opowiedziała więc historię od początku, jako że wiedziała najwięcej. W mieszkaniu panowała napięta atmosfera, przepelniona goryczą zgromadzonych. Jedynie pan Łukasz zachował pozory obojętności i tylko notował w pamięci wszystkie fakty. Kiedy skończyła, w kuchni zapadła taka cisza, że

dałoby się usłyszeć spadający włos, nie mówiąc już o kapiących łzach. Julia po raz pierwszy w życiu widziała zaszklone lub nawet wypełnione łzami oczy Piotrka. Opierał się o lodówkę z wyrazem wielkiej boleści na twarzy. Domyślała się, że przypominał sobie wspólne chwile spędzone z Magdą. Czując, że za chwilę się rozplacze, wyszła na balkon. W domu Libarzów czuła się jak u siebie, więc nawet nie pytała. Lekki wiatr wysuszył jej oczy, a ona oparta o balustradę usiłowała sobie przypomnieć jakieś szczegóły, które pominęła, jednak nic nie przychodziło jej do głowy. Wtem poczuła czyjąś rękę na ramieniu. Odwróciła się i ujrzała przed sobą Piotrka.

- Dzięki za telefon. Okropnie się boję, wiesz? Pewnie dziwnie to brzmi w ustach chłopaka, ale po prostu nie potrafię sobie wyobrazić życia bez niej. Za bardzo ją kocham, że bym miał ją stracić.

- Wcale nie dziwnie – uśmiechnęła się dziewczyna. – Magda ma szczęście, że cię ma.

- To ja mam szczęście, że pokochała właśnie mnie. Po świecie chodzi tylu lepszych ode mnie chłopaków, że bez problemu mogła wybrać kogoś innego.

- Ale wybrała ciebie i cieszę się razem z nią. Nawet nie próbuj się porównywać z innymi, bo ich wpędzisz w kompleksy – powie-

działa Julia i spojrzała mu w oczy.

- Proszę cię, nie rób tego. Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Nie psuj naszych relacji i to w takim momencie. – Piotrek odsunął się od dziewczyny i przeszedł na drugi koniec balkonu. Oparł się tyłem o żeliwne barierki i popatrzył na osiedle.

Karolina Wilczyńska, kl. III b

Wiosenny optymista

Idź zawsze w stronę słońca,
Nie oglądaj się za siebie,
Nie licz dni straconych,
Lecz chmury na niebie.
Uśmiechaj się do wszystkich
Smutnych i radosnych,
Nie wspominaj zimy,
Lecz wsłuchaj się w szept wiosny.
Nuć pod nosem cicho,
Podskakuj najwyżej jak umiesz,
Czytaj z oczu zwierząt,
A wszystko zrozumiesz.
Potem usiądź na trawie,
Odetchnij głęboko,
Spójrz na barwne ptaki,
Co szybują wysoko.
Daj myślom choć raz zaznać
swobody,
Nie myśl, lecz przypatrz się pięknu
przyrody.
Potem zaśnij na ziemi choć na jedną
chwilę,
Bo urok przyrody drzemie w ludzkiej
sile.

Dlaczego?

Masz takie ciepłe dłonie...
Dlaczego je oziębiasz?
Masz taki wielki talent...
Dlaczego go odrzucasz?
Masz takie szczere spojrzenie...
Dlaczego zamykasz oczy?
Masz w sobie tyle optymizmu...
Dlaczego się nie uśmiechasz?
Masz taką dobrą duszę...
Dlaczego czynisz zło?
Masz w sobie tyle wdzięku...
Dlaczego się maskujesz?
Nie odpowiadaj na żadne z tych
pytań.
Nie patrz w lustro.
Spójrz w głąb swego serca.
Ujrzysz tam mnie i wszystko zrozu-
miesz.

Justyna Flis, kl. III a



rys. Ada Kopezyk, kl. III c

Kulturalia

Czy reżyserowi naprawdę wszystko wolno?

Za namową pana od historii oraz mojej serdecznej koleżanki podjęłam się przeczytania „Hrabiego Monte Christo” autorstwa Alexandra Dumasa. Książka wciągnęła mnie tak, że okiełznałam te 1000 stron w 8 dni, ani trochę nie żałując, że nie poświęciłam przez to choć chwili na przygotowanie się do sprawdzianu z optyki ☺ Rozentuzjasmowana i zachwycona powieścią skombinowałam sobie filmową adaptację z 2002 roku i...całą magię diabli wzięli jak podczas polowania na czarownice.

W skrócie fabułę „Hrabiego...” wykreowaną przez Dumasa (nie mylić z Reynoldsem) można opisać tak: młody mężczyzna, Edmund Dantes za sprawą intrygi uknutej przez trzy bliskie mu osoby trafia do twierdzy If, gdzie spędza 14 długich lat. Próbuje różnych form ucieczki, planując je razem z księdzem Farią i ostatecznie udaje mu się ona po śmierci towarzysza. Posługując się informacjami duchownego na temat miejsca ukrytego skarbu, odnajduje je na wyspie Monte Christo i właśnie jako

hrabia Monte Christo powraca do Francji, by dokonać zemsty na ludziach, którzy zgotowali mu tak straszliwy los. Odrzuca jednak myśl krwawej i szybkiej rozprawy z prześladowcami i knuje mistrzowski wręcz plan, którego urzeczywistnienie zajmuje mu niespełna 10 lat. Rezultaty są zgodne z oczekiwaniami hrabiego i każdy, kto przyczynił się do jego niedoli, traci wszystko – od pieniędzy i pozycji towarzyskiej, poprzez rodzinę i przyjaciół a na życiu kończąc.

Jako hobbystka taśmowych produkcji widziałam wiele filmów powstałych na kanwie książek, lecz oglądając tę wersję „Hrabiego...”, byłam wręcz przerażona, że można było Dumasa ojca potraktować tak bezceremonialnie. Odnoszę wrażenie, że reżyser (Kevin Reynolds) i scenarzysta (Jay Wolpert) mają jakąś osobistą urazę do Dumasa, bo nie znajduję innego sposobu na wytłumaczenie tak swobodnej adaptacji francuskiego romansu. Okazuje się jednak, iż Fabryce Snów wszystko wolno.

Amerykanie mają bardzo dziwną przypadłość, by kaleczyć klasykę i wykazywać się rażącym pragnieniem dopasowania się do

kanonów komedii romantycznej. Nawet jeśli mowa o ludzkim dramacie, zawsze nadrzędnym celem staje się wciśnięcie na siłę kilku erotycznych scen (a pocałunki to rzecz bardziej obowiązkowa niż główny bohater) i koniecznie szczęśliwego zakończenia. Naturalną rzeczą jest dla nich zmiana zakończenia, wprowadzenie nowych postaci mających tyle wspólnego z fabułą co budyzm z Chrystusem czy wycinanie lub upraszczanie wątków, czyniąc je płytkimi i banalnymi.



Nie inaczej postąpiono z biednym „Hrabią...”. Mimo krytyki muszę pochwalić twórców, że choć jedna rzecz pozostała

niezmieniona. Brawo za zachowanie oryginalności tytułu! To już coś, zważywszy, że knute intrygi, sposób dokonania zemsty i przebieg akcji zmuszają widza do poważnego zastanowienia się, czy naprawdę ogląda filmową adaptację jednego z największych dzieł Dumasa, czy może przypadkiem pomylił opakowania i wyjął płytę nie z tego pudełka, z którego chciał.

Wiele do życzenia pozostawiają też życiorysy bohaterów. Z bankiera Danglarsa zrobiono handlowca i złodzieja, zamordowano ojca Villeforta, mimo że w powieści jego żywot wcale się nie kończy, pominięto niezwykle istotny wątek romansu pana Villeforta z panią Danglars oraz miłości Maxymiliana Morrela z Walentyną, a z hrabiego zrobiono pod koniec nawiedzonego ojca bękarta (Albert okazuje się jego synem), który kupuje własne więzienie i zamieszkuje tam z rodziną po zabiciu byłego przyjaciela (w oryginale prawie się z Fernandem nie znali). Rozumiem, że z Monte Christa był oryginał, ale kreowanie go na sentymentalnego dziwaka zakrawa na barbarzyństwo.

Nie chciałabym uchodzić za zrzedę, a zamiast tego wolalabym powiedzieć coś pozytywnego o tym filmie. Niemniej jedną rzeczą, jaką mogę w tym kierun-

ku uczynić, to pochwalenie dwóch aktorów. Po pierwsze – Jamesa Caviezela. Jest według mnie najbardziej przekonującą postacią w tym filmie i naprawdę dobrze odegrał swoją rolę hrabiego. Szkoda tylko, że Reynolds i Wolpert nie pozwolili mu na prezentację bogatego repertuaru umiejętności aktorskich, których z pewnością Caviezelowi nie brak. Niemniej i tak wyróżniał się spośród całej obsady. Drugim zasługującym na wyróżnienie jest Albie Woodington grający Danglarsa. W pełni oddał charakter i osobowość fałszywego i egoistycznego właściciela statku zazdrosnego o Edmunda alias hrabiego. Dużym ułatwieniem stał się dla niego charakterystyczny zachrypnięty głos, jednak byłby on niczym przy znikomym przygotowaniu zawodowym.

„Hrabia Monte Christo” to film chybiony i należy przestrzec „Amerykańców”, by nie podejmowali się tak ambitnych zadań jak adaptacje literackiej klasyki, bo najzwyczajniej w świecie nie potrafią temu sprostać.

Karolina Wilczyńska, kl. III b

Ten zegar stary...

Kiedy słyszymy o operze, przed oczami staje nam piękny, wielki teatr z barokowymi zdo-

bieniami, pokryte czerwonym materiałem fotele i elegancko ubrani widzowie. Na sali panuje cisza i w całkowitej ciemności wszyscy wsłuchują się w piękne głosy śpiewaków. Tymczasem obchody 440. rocznicy Unii Lubelskiej rozpoczęto od opery na scenie ustawionej na Placu Litewskim. Zwolennicy tego rozwiązania cieszyli się z możliwości darmowego obejrzenia tak pięknego występu na świeżym powietrzu. Przeciwnikom natomiast brakowało prawdziwej operowej atmosfery.

„Straszny dwór” Stanisława Moniuszki to historia intrygi miłosnej, która ma doprowadzić do zgody Miecznika na ślub córek z młodzieńcami – braćmi Stefanem i Zbigniewem. Tłem intrygi są straszne opowieści o duchach, historii dworu oraz o niesamowitym zegarze, o którym opowiada najbardziej znana aria tej opery. Finałowy akt wyjaśnia wszystkie tajemnice straszego dworu. Młodzieńcy uzyskują zgodę na ślub ze swymi wybrankami, a intrygant Damazy zostaje z niczym.

Aura nie sprzyjała zamierzeniu organizatorów. Wieczór był bardzo zimny, chwilami padał deszcz. Na Placu Litewskim zebrał się wielki tłum lublinian. Mimo chłodu i utrudniających oglądanie rozłożonych parasoli

widzowie byli dla siebie uprzejmi i życzliwi (czyżby zbawienny wpływ sztuki, łagodzący obyczaje? ;-))

Niezwykłym doświadczeniem było obserwowanie artystów poza sceną. W prawdziwym teatrze zakulisowa strona spektaklu jest niedostępna. Na Placu Litewskim zapleczem sceny była jej boczna strona. Tam ćwiczone fragmenty tańców, na swoje wejście oczekiwali wykonawcy, miło było widzieć kolejne postaci, zanim ujrzeli je widzowie od strony sceny.

Na klasycznym przedstawieniu operowym widzowie

śluchają arii w milczeniu. Tamtego dnia arię „Ten zegar stary” nucili wszyscy zgromadzeni.

Tego rodzaju przedsięwzięcia zawsze budzą kontrowersje. Proporcje między zwolennikami a przeciwnikami układają się różnie. Wydaje się jednak, że dobry jest każdy sposób, który udostępnia sztukę dużego kalibru masowej publiczności. Można przyjąć, że dla wielu zgromadzonych na Placu Litewskim osób był to pierwszy kontakt z operą.

f.



Kraina chichów

Paw i wróbelek

Był sobie paw dumny,
a wokół jego osoby zamęt szumny.

Był sobie też wróbelek skromny,
pochwaly i sympatii godny.
Paw wszystkich poniżał, siebie
wywyższając,
a wróbelek żył spokojnie niczym
szary zajac.

Paw się wciąż przechwalał,
a wróbelek wszystkim pomagał.

Pewnego dnia człowiek zabił
pawia,
którego pióro teraz czyjś kape-
lusz przyozdabia.

A wróbelek do dnia dzisiejszego
nie zawiódł zaufania niczyjego.
Morału z tej bajki trudno jest się
nie domyślić.

Wszyscy chyba już wiedzą, że
nie warto się pysznić.

Dominika Drozd, kl. II d

którego spędził ostatni wieczór.
Zapytywał w nim, czy przypadkiem

Anegdota

André Marie Ampère znany był ze swego roztargnienia. Pewnego wieczoru gdy był na przyjęciu u znajomych rozpętała się paskudna ulewa. Gospodarze, wiedząc, że gość ma dość daleko do domu zaproponowali mu nocleg. Ampère chętnie przystał na propozycję po czym, gdy gospodarze zajęli się ścieleniem łóżek gdzieś zniknął. Po dłuższym czasie usłyszeli dzwonek. W drzwiach zobaczyli przemoczonego do suchej nitki Ampère'a. "Gdzie Pan był?" - zapytali z nieskrywanym zdziwieniem.

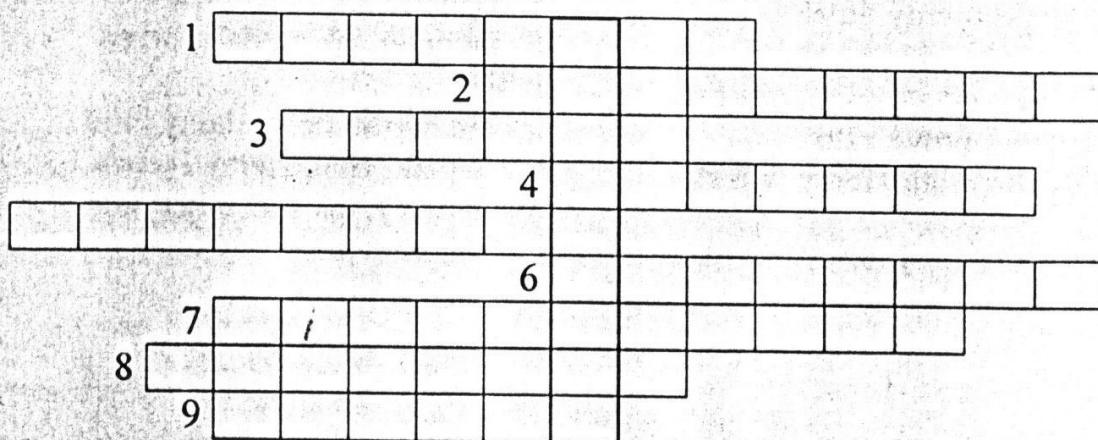
"W domu, po piżamę." - odparł spokojnie Ampère.

Innym razem stwierdziwszy brak zegarka, wysłał list do przyjaciela, u



nie zostawił u niego zegarka. Adresat, przeczytawszy list, zobaczył w postscriptum: "Przed chwilą znalazł się mój zegarek, więc nie trudź się poszukiwaniem."

Krzyżówka ortograficzna z hasłem



1. Cecha czynu, który może skompromitować, odebrać dobre imię.
2. Jeden z bohaterów bajki „Muminki”.
3. Rodzaj mogiły w kształcie kopca.
4. Nieprzeciętna odwaga, zdolność do wielkich czynów.
5. Osoba drobna i wątła.
6. W nich trzyma się stopy podczas jazdy na koniu.
7. Nieprzepuszczający powietrza.
8. Bawią się na nim dzieci.
9. Można ją znaleźć w chińskim ciasteczku.

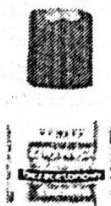
Klara Siepkowska, kl. III c



~~X~~



NI



~~YWACZ~~

Michał Małyska, kl. III c

74.

Na zakończenie

Jutro popłyniemy daleko,
Jeszcze dalej niż te obłoki,
Pokłonimy się nowym brzegom,
Odkryjemy nowe zatoki;
Nowe ryby znajdziemy w jeziorach,
Nowe gwiazdy złowimy w niebie,

Popłyniemy daleko, daleko,
Jak najdalej, jak najdalej przed siebie.
Starym borom nowe damy imię,
Nowe ptaki znajdziemy i wody,
Posłuchamy, jak bije olbrzymie,
Zielone serce przyrody (...)

K.I.Gałczyński,
fr. „*Kroniki olsztyńskiej*”

